

# Szymon Kazimierski

## Sonderführer

Nigdy przedtem nie miałem takich problemów. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się siedzieć nad niezapisaną kartką z głową pełną rojących się pomysłów, będąc jednocześnie zupełnie niezdolnym do przelania ich na papier w jakimś sensownym porządku.

Chcę wierzyć, że powód tego stanu ducha może być tylko jeden: pośpiech. Za szybko chcę opisać to, co się nam przydarzyło przed kilkoma zaledwie tygodniami. Jestem zbyt niecierpliwy. Temat jeszcze się nie ułożył. Siedzę teraz i gapię się przez okno na zasypaną śniegiem ulicę. Myśli wracają uporczywie do tego zimnego, mokrego, trochę strasznego i kompletnie pustego lasu.

Czy wszystko już zamarzło? Czy nie pozostawiliśmy po sobie jakiegoś śladu? Czy nikt nie domyśli się, że to nasza robota? A może ktoś jednak nas podglądał?

Mało to prawdopodobne. Stryj twierdził, że wykluczone. Władek sprawdzał każdego dnia rano, czy kto nie kręcił się w tamtej okolicy. Wychodziło na to, że faktycznie nie. Stryj mówił, że nie ma powodów do obaw, znał Władka od urodzenia i był pewien, że ten wypatrzy i wytropi wszystko. Nawet miejsce, gdzie przed dwoma tygodniami odlał się zając. A jeśli Władek tym razem jednak coś przegapił?

Dziwni faceci ten Władek ze stryjem. Na pierwszy rzut oka wydawali się całkiem przeciętni, ale później... Byli jakby obcy. Całkiem z innej planety, jak to mówią. Między sobą rozumieli się bez słów, innym stwarzali zawsze jakiś, choćby tylko maleńki, dystans.

Kamraci. Zawodowi żołnierze pośród cywili.

Urodzili się po sąsiedzku. Przez płot. W samym środku wojny. Do tego stryjek był starszy od Władka o rok, miesiąc, tydzień i jeden dzień.

Czyż możliwe są aż takie przypadki?

Znów wracam myślami do tamtego miejsca. Wszystko już pewnie przysypał śnieg, a tam, na północy, leży go dobre pół metra. Czemu więc boję się o tym pisać? Nie czarujmy się. Po prostu się boję.

A jednocześnie coś mnie korci, by spróbować, żeby jak najdokładniej opisać wszystko, co się wydarzyło.

Może zamiast w nieskończoność dobierać odpowiednie słowa powinienem przytoczyć relację stryja. To, co powiedział mi przed wyprawą do tuneli. Może wtedy łatwiej mi będzie opisać swoje własne wrażenia, wszystko to, co miało miejsce w trakcie wyprawy.

Kiedy się to zaczęło? Chyba od telefonu stryja. Mówił, że trafił na „bombę”.

Bomba? Tak! Nawet nie atomowa. – Wodorowa!

Po moim przyjeździe przegadaliśmy pół nocy. Opowiedział mi o swoim odkryciu i nie tylko o nim.

\* \* \*

Wiesz, kto to jest, a ściślej, kto to był *Sonderführer*? Nie dziwię się, że nie wiesz. Tego właściwie nie wie nikt. Nawet Niemcy nie wiedzieli. Ja przynajmniej spotykałem tylko takich, którzy nie wiedzieli. A w samym słowie *Sonderführer* jest coś niesamowitego. *Sonder* – to po niemiecku specjalny, nadzwyczajny. *Führer* – to chyba wiadomo każdemu. Wódz, ale też dowódca, kierownik. *Führerem* był Adolf Hitler. Prawie wszystkie stopnie w

SS miały końcówkę *-führer*. Tak się to ludziom kojarzy. Połącz teraz jedno z drugim. Wyjdzie ci „nadzwyczajny *Führer!*”, „Specjalny *Führer!*”, „Oho ho! Ten to dopiero musi być *Führer!!!*”. Tak to każdy odbiera.

W rzeczywistości *Sonderführer* to nie był stopień wojskowy. No i nie oznaczał dowódcy o nadzwyczajnych uprawnieniach, ale kogoś, kto dostawał uprawnienia do stopnia oficerskiego, bo powody, dla których znalazł się w armii, były nadzwyczajne.

W ten sposób SS zabezpieczało dobre warunki służby dla specjalistów wysokiej klasy powoływanych czasami do wojska. Specjalistów niebędących żołnierzami, a bardzo potrzebnych w armii. Gdyby takiego powołać w normalnym trybie, miałby stopień szeregowca. Narażony by był na najrozmaitsze szykany każdego zwariowanego kaprała lub feldfebla. Nie wolno by mu było korzystać z kasyna oficerskiego, kwater oficerskich. Nie do pomyslenia w przypadku takiego, powiedzmy, pana docenta Uniwersytetu Berlińskiego. Gdy więc pan docent, spec nad spece od czegoś tam, ale kompletna fujara wojskowa, był potrzebny armii, powoływano go do służby jako *Sonderführera*. Dostawał stopień oficerski, najczęściej podporucznika, czasem majora. No i odpowiedni do stopnia mundur, nieco tylko różniący się od typowego munduru oficera Wehrmachtu. Inne były naramienniki. Inne patki na kołnierzu. Wśród *Sonderführerów* najwięcej było lekarzy i tłumaczy. Mnie trafił się... geodeta.

Całą aferę zapoczątkował mój koleżka Tadzio, wyciągając mnie pewnej słonecznej niedzieli na targ staroci. Niewiele chodziliśmy po bazarze, bo zaraz, na samym początku, Tadzio znalazł stoisko z militariami i nie można go już było oderwać od tego wojennego żelastwa. Obok straganu, na trawniku, stał niemiłosiernie skorodowany niemiecki karabin maszynowy, obok stos niemieckich hełmów, na haczyku wbitym w daszek budki bazarowej powiewała kurtka mundurowa Waffen-SS. Dla Tadzia pełnia szczęścia i obietnica niezwykłości. Mnie niesmaczyła bazarowa tandeta wystawionych eksponatów. Do karabinu maszynowego dokręcono czarną od korozji taśmę naboją przy pomocy dwóch ocynkowanych blachowkrętów, i to jeszcze dostosowanych do śrubokręta krzyżkowego. Podobne mocowania trzymały w hełmach nowiutkie podpinki, wyjęte zapewne z polskich hełmów masowo sprzedawanych kiedyś przez nasze wojsko. Lipa krzyczała wniebogłosy.

W pudełeczkach na straganie zobaczyłem niemieckie odznaczenia wojskowe, guziki mundurowe, sprzączki od pasów.

Machinalnie wziętem do ręki Żelazny Krzyż, całkowicie pozbawiony już emalii. Na odwrocie widniała data 1939. Boże! Za kampanię wrześniową! Za rozwalenie Polski!

Teraz dopiero zauważyłem, że krzyż, sprzączki i guziki pokryte są czymś w rodzaju brunatnej glinki wżartej głęboko w metal, trudnej do usunięcia. Odrzucony krzyż z brzękiem wpadł do pudełka.

– Z grobów wykopujecie? – powiedziałem, z obrzydzeniem wycierając palce odwiecznym męskim odruchem „o portki”.

Sprzedawca-łysol wystraszył się trochę, speszył i zagadywał. Wyciągnął skądś duże, płaskie, kartonowe pudło, a z niego zniszczone, opalone na krawędziach, zatęchłe pliki dokumentów, namawiając mnie natarczywie do ich nabycia.

– Panie! Niech pan tylko popatrzy, jakie tu są fajne niemieckie pieczęcie. Jakie orły ze swastykami!

Niestety. Dokumenty wcale nie były ciekawe. Owszem, ładnie się prezentowały pomimo upływu lat, ale dotyczyły zobowiązań podatkowych jakiejś gminy. Dopiero na

samym spodzie leżał duży brulion.

W prawym dolnym rogu tekturowej okładki wyraźnym, ręcznym gotykiem wykaligrafowano: „Podporucznik Kuno Jost – *Sonderführer*”.

Do gotyku trzeba się przyzwyczaić. Pisany gotyk dla kogoś, kto po raz pierwszy spotyka się z tym pismem, będzie chińską abrakadabrą. Łysol nawijał opowieści o niezwykłych walorach brulionu, ręcznej robocie, szyfrach, tajnych dokumentach. Przeszkadzał. Skupiony przerzucałem kartki. Raptem oniemiałem.

„Miasto płonęło. Polacy pojawiali się zewsząd, krzycząc – *Halt! Halt! Hände hoch!* Chyba nie rozumieli tego, co kazano im wykrzykiwać, bo pomimo że stałem z wysoko wzniesionymi ramionami, jeden z nich dwukrotnie pchnął mnie bagnetem...”

Spojrzałem na poprzednią stronę.

„Zdenerwowany łącznik meldował, że w III batalionie doszło do zdrady, że żołnierze przyłączają się do Polaków. Pułkownik Fischer z pistoletem w dłoni wraz z oficerami wybiegli, pozostawiając nas na kwaterze”.

Rany Boskie! O czym ten chłop pisze!? Niemcy przyłączali się do Polaków? Gdzie to było? Kiedy?!

Już wiedziałem, że muszę kupić ten brulion. Dobrze, że łysy nie potrafi czytać gotyku. Zdarłby ze mnie za tego *Sonderführera*...

Targowałem się tylko dla zasady, a kiedy brulion należał już do mnie, pożegnałem Tadzia i popędziłem do domu.

Takie stare dokumenty zawsze robią na mnie ogromne wrażenie. Podobnie było i teraz. Brulion *Sonderführera* Josta leżał przede mną na stole, roztaczając wokół charakterystyczny zapaszek kurzu i zestarzałego papieru. Otworzyłem go na pierwszej stronie.

Początek był mało ciekawy. Kuno Jost był geodetą. Na początku 1939 roku został zmobilizowany i jako podporucznik, *Sonderführer*, przydzielony do sztabu I Korpusu generała Petzela, gdzie objął stanowisko w tworzącej się przy Sztapie Korpusu komórce geodezyjno-kartograficznej. W dzienniku zapisywał swoje obawy w związku z atakiem na Polskę i nadzieje, że wojna jednak może nie wybuchnie.

Uderzenie na Mławę i późniejsze działania na kierunku Siedlec *Sonderführer* Jost spędził przy sztabie artylerii Korpusu. Nastroje niemieckiego geodety, które skrzętnie powierzał brulionowi, wahały się od stanu skrajnego optymizmu do skrajnego pesymizmu. Same w sobie te zwierzenia nie były niczym niezwykłym, ale mnie zaciekały, bo jasno z nich wynikało, że dla niemieckich oficerów kampania polska nie była bynajmniej niedzielną przechadzką, jak to później zostało przedstawione. Komórka Josta była mocno zapracowana. Polskie matryce map wykradzione przez niemiecki wywiad okazały się mało przydatne. *Sonderführer* Jost uważał nawet, że polski kontrwywiad celowo podrzucił Niemcom fałszywe mapy.

Opis bitwy, którego fragment tak wstrząsnął mną na bazarze, powstał podczas pobytu *Sonderführera* w szpitalu olsztyńskim.

11 września 1939 Jost został wysłany do 44. Pułku Piechoty, do miejscowości Kałuszyn. Miał przygotować opracowanie geodezyjno-kartograficzne dla artylerii. Mapy po raz kolejny okazały się nieadekwatne do rzeczywistości.

Późnym wieczorem Polacy niespodziewanie kontratakują. Stacjonujący w Kałuszynie 44. Pułk Piechoty, całkowicie zaskoczony skalą i tempem natarcia, broni się nieskutecznie. Ogień polskiej artylerii przesądza o wyniku starcia. Wybucho panika.

Niemieccy żołnierze, chłopaki z Olsztyna i podolsztyńskich wiosek, ratując życie, przyłączają się do atakujących. Pułkownik Fischer w obliczu zagłady całego swego pułku popełnia samobójstwo. Masakra 44. Pułku Piechoty Wehrmachtu trwa w najlepsze, gdy *Sonderführer* Kuno Jost próbuje się poddać. Trafia pechowo. Może zawiniło wiszące mu wciąż u pasa, bezużyteczne w takiej chwili parabellum?

Później jest szpital w Olsztynie.

Mijają miesiące. Zwycięstwo nad Francją zastało Josta w gdańskiej klinice specjalistycznej. Po rehabilitacji został uznany za niezdolnego do służby liniowej. Do cywila jednak nie poszedł. Nowy przydział to służba w ośrodku naukowym.

Od tego momentu pamiętnik, do tej pory dość obszerny, zaczyna być coraz bardziej lakoniczny. Coraz częściej niemiecki geodeta ograniczał swoje wpisy do kilku krótkich zdań. Jednak nawet z nich można było wywnioskować, że *Sonderführer* Jost pracował nad czymś tajemniczym i ponurym.

„Wysłane do RII i RIII drezyny doszły pomyślnie. W doskonałym stanie technicznym. Z RIII przysły zapalniki. Ogromny sukces.

Materiały wybuchowe doszły do RIII. Nie eksplodowały. Nadzieja na pomyślny przebieg eksperymentu całościowego.

Tragedia! Ochotnicy z RII! Koszmar! Nie można patrzeć na to, co z nich zostało.

Pogrzeb ochotników na cmentarzu w Gołdapi. Wszyscy zszokowani, a Stary wygląda, jakby za chwilę miał umrzeć na atak serca.

Prace wstrzymane. A było już tak blisko sukcesu. Może Stary pozbiera się wreszcie i zacznie myśleć. To, jak wyglądali ochotnicy po otwarciu bram, śni mi się czasem po nocach”.

W jakim czasie powstawały notatki? Chyba pod koniec roku 1942, bo po nich był wpis dotyczący mało wesołego sylwestra tegoż roku.

Rok 1943 jest dla *Sonderführera* Josta rokiem przeklętym. Czytając jego pamiętnik, coraz rzadziej trafiałem na informacje związane z pracą w ośrodku, za to coraz częściej na wiadomości o nieustannych nalotach na Niemcy. W maju 1943 od alianckich bomb ginie jego ojciec i dziadkowie. W dwa tygodnie później żona i najmłodsza córka. W kilka miesięcy później amerykańska *Luftmine* spada na dom siostry, gdzie przebywali jego najstarszy syn i druga córka, zamieniając wszystko na kationy. Naprawdę tak napisał. Na kationy!

Zapis: „Aluminium!” – musiał dotyczyć ośrodka. Po katastrofie z „ochotnikami” przyszło aluminium, a po nim sukces.

Zastanawiałem się wciąż i wciąż, nad czym pracowano w ośrodku?! Każdy kolejny zapis tylko rozpałał moją ciekawość.

„Zwłoki z RII i RIII przysły bez żadnych uszkodzeń. Odesłaliśmy po jednej parze na RII i RIII. Trzy sztuki wziął doktor na sekcję. Resztę Stary polecił pochować na cmentarzu w Gołdapi”.

Do czego mógł być potrzebny wybitnej klasy geodeta w miejscu, które coraz bardziej zaczyna wyglądać na jakąś wyrefinowaną mordownię? Gdzie po otwarciu bram można natknąć się na koszmarnie zmasakrowanych „ochotników”, gdzie przysyła się sobie i odsyła ludzkie zwłoki, gdzie o wszystkim decyduje jakiś *der Alte*, Stary. Nie starzec przecież, ale szef. A może herszt?

Tajemnica nie pozwalała mi ani na chwilę odłożyć pamiętnika. Czytałem zachłannie kolejne strony.

„Dużo pracy. Powstaje RIV. Celujemy się na nią.

Kolosalny sukces! RII przekazała do nas cały batalion! Żadnych komplikacji. Kolosalne zużycie energii. Wyłączamy całe Wschodnie Prusy. Ludność jest przekonana, że to wojenne oszczędności. Przez naszą RI idą transporty amunicji artyleryjskiej i strzeleckiej z przeznaczeniem na front wschodni. 14 milisekund. Wielkie trudności z nowymi wagonami właściwie uniemożliwiają działania projektu. »Konik szachowy« bardzo zagrożony!”

17 grudnia 1944:

„Wieją. Ucieka ta banda lumpów. Amerykańskie bydło. Mordercy kobiet i małych dzieci. Dwie armie pancerne. Od nas mało poszło, ale współpraca RII, RIII i RIV – znakomita”.

24 grudnia:

„Jedna wielka katastrofa. Już nie mamy niczego do wysyłania. Poza tym kluczowe w obecnej chwili RII zagrożone i bez prądu. Nikt z nas nie spodziewał się tak tragicznie szczupłych zapasów materiałowych.

To koniec. Rosjanie już niedaleko. Ostatnia odprawa u Starego. Stary nie chce wykonać rozkazu. Nie pozwala na wysadzenie w powietrze naszej RI. Ma rację! Proponuję wykorzystanie syfonu. Sam obliczałem. Musi zadziałać. Mróz niewielki. Wysadzamy lód na jeziorze. Palimy baraki”.

Ostatni zapis w pamiętniku, bardzo lakoniczny, dotyczy prawdopodobnie ewakuacji: „Gdańsk. Szczecin?”

Odłożyłem pamiętnik *Sonderführera* Josta. W głowie mi huczało.

Tajemniczy ośrodek naukowy, gdzie służył *Sonderführer*, musiał znajdować się gdzieś niedaleko Gołdapi. Tamtejszy cmentarz wymieniony był aż dwukrotnie. Nikt przecież nie urządza pogrzebów gdzieś bardzo daleko od swojego miejsca zamieszkania. Chociaż w przypadku tego dziwnego ośrodka wszystko było możliwe. Tym bardziej że Jost pisał o zwłokach przesyłanych z jednego miejsca na drugie. Poza tym, cóż takiego szczególnego mogło być w okolicach Gołdapi? Dlaczego ktokolwiek miałby tam akurat zbudować jakiś tajny ośrodek naukowy? Niczego tu przecież nie ma i nigdy nie było. Ogromne pagóry pokryte puszcza, przepaściste jary, pustkowie, co najwyżej poligony wojskowe. Ledwie to pomyślałem, a sam siebie nazwałem durniem. No właśnie! Pustkowie. Puszcza. Poligony. Gdzie znajdzie się lepsze miejsce na jakąś tajemniczą działalność?

Więc jeśli ośrodek zwany w pamiętniku RI znajdował się w Prusach Wschodnich, chyba niedaleko Gołdapi, to skąd wzięła się notatka o uciekających Amerykanach? Dlaczego ten zapis był dla *Sonderführera* Josta tak bardzo ważny, że wyróżnił go wyraźnie zapisaną datą, co zazwyczaj lekceważył? Amerykanów nienawidził, może to właśnie dlatego?

Siedziałem oszołomiony, wpatrując się w ostatnie zapisane słowa. Ostatnia kartka pamiętnika i ostatnie słowa: „Gdańsk. Szczecin?”.

Wydawało mi się, że tutaj właśnie znajdę rozwiązanie tajemnicy. Postanowiłem jeszcze raz przeczytać, bardzo uważnie, pamiętnik *Sonderführera* i od razu wynotowywać sobie wszystkie dziwne i zaskakujące informacje.

Zanim się jednak do tego zabrałem, minęło kilka dni. Musiałem wyjechać. Nie dało się oмотać szefa żadnymi opowieściami, ale dzięki temu nabrałem dystansu do sprawy ośrodka RI. Więc gdy wróciłem, zasiadłem do lektury dużo spokojniejszy niż poprzednim razem. Drobiazgowo wynotowanie wszystkiego, co wydawało się mieć jakieś znaczenie,

tak naprawdę niczego mi nie dało. Pałac papierosa, siedziałem z notatnikiem *Sonderführera* na kolanach otwartym na ostatniej stronie, wpatrzony tym razem we własne notatki.

Musiałem tak siedzieć bardzo długo, bo nagle z palącego się papierosa spadł spory wałek tytoniowego popiołu, brudząc otwarty pamiętnik. Odruchowo strzepnąłem popiół i w tym właśnie momencie usłyszałem cichutki dźwięk.

Zaintrygowany jeszcze raz strzepnąłem palcami po ostatniej stronie pamiętnika. Dźwięk się nie powtórzył. Ponowiłem próbę, ale tym razem uderzając palcami po wewnętrznej stronie okładki pamiętnika. Tym razem coś usłyszałem.

Obie okładki brulionu na swoich wewnętrznych stronach wyklejone były marmurkowatym papierem. Pod papierem tylnej coś było! Na tyle cienkiego, że gdyby nie dźwięk, nigdy bym tego nie zauważył. Ale było!

Ręce zaczęły mi dygotać. *Sonderführer* Jost coś tam ukrył! Tak nie ukrywa się byle czego!

Po kwadransie rozwarstwiania tektury okładki igłą do szycia już wiedziałem, co ukrył *Sonderführer*. Niewielki prostokąt kalki technicznej. Obramowany starannie wyrysowaną tuszem ramką. Nad ramką kaligraficznie wykonany napis: *Winklerssiedlung*. W.s.A.

To nie była, jak się spodziewałem, mapa. Diabli wiedzieli, co miałem przed sobą. Kłębiące się wiązki cieniutkich linii, być może, miały oznaczać poziomicę jakiegoś terenu. I nic więcej już nie wymyśliłem. Kilka precyzyjnych kółeczek z czarnymi punktami w środku. Przy każdym takim kółeczku sznurek maleńkich cyfr i symboli. Jeszcze jakieś strzałki, niestrzałki... Jedyne, co w tym było wyraźne, to umieszczony poza ramką, u dołu, symbol podobny do oka opatrności, to znaczy trójkąt z czarnym kółkiem w środku, wyposażony, a jakże, w swój sznureczek cyfr i literek. Ogłupiały wpatrywałem się w swoje znalezisko. „Oko opatrności” spoglądało na mnie z pogardą.

Jedyne, co uzyskałem, to nazwę *Winklerssiedlung*. Osiedle Winklera. Uznałem, że powinienem ruszyć tym tropem, a być może trafię na ślad tajemniczego RI.

Niczego jednak nie odkryłem. Przewertowałem wszelkie dostępne spisy niemieckich nazw miejscowości i nigdzie, ale to nigdzie w całych Prusach Wschodnich, nie znalazłem miasta, wsi, przysiółka o nazwie *Winklerssiedlung*. Szkic odnosił się do jakiejś miejscowości położonej gdzieś indziej, nie w Prusach.

Jedynym, czego mogłem się uchwycić w poszukiwaniu RI, była Gołdap.

„Jak przeżyjesz Gołdap, Orzysz, to na wojsko .... położysz”, skandowali pijani żołnierze na dworcu olsztyńskim. Dawne to były czasy. Gołdap i Orzysz. Dwa karne ośrodki dla wyjątkowo krnąbrnych żołnierzy. Garnizony, o których opowiadano sobie na ucho. Ogromne tereny poligonów, które istniały od czasów cesarza Wilhelma.

– Nie wiem, czy istnieją tam jakieś budowle z czasów wojny – stwierdził mój znajomy zajmujący się militarnymi zabytkami regionu. – Wojsko na wszystkim trzymało łapę, wszystko było śmiertelną tajemnicą. Wszędzie dookoła wietrzono szpiegów światowego imperializmu. Teraz dopiero, podczas reorganizacji armii, wojsko opuszcza tereny dawnych poligonów. Wiesz co? Skontaktuję cię z panem Jankiem. Mieszka w Giżycku. Nikt lepiej od niego nie zna okolic poligonów Gołdapi.

Pan Janek, wielki, wesoły, piegowaty rudzielec, uradował mnie bardzo, ale i bardzo zaskoczył. Owszem, znalazł w gołdapskich lasach coś wielkiego i tajemniczego, ale są to jakieś urządzenia... kolejowe. Wojsko właśnie zlikwidowało poligon i możemy tam jechać, choćby w najbliższą niedzielę. Muszę jednak mieć samochód. No i sprawną latarkę.

Pojechaliśmy. Po drodze pan Janek opowiadał mi o miejscu, które było celem naszej podróży.

– Jeszcze w trakcie działań wojennych Rosjanie demontowali tam całe linie kolejowe, szabrując i wywożąc głównie szyny. Tych linii nigdy nie odbudowano. Do obiektów można trafić, idąc po torowisku, byle nie przegapić odchodzącej w pewnym momencie zniszczonej i pozbawionej szyn bocznicy. Można też dojechać samochodem. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy zjechać na prawo z głównej szosy. Kilkaset metrów w głębi lasu leśna droga przechodzi nagle w wąską, betonową, obecnie zarośniętą zielskiem, idealnie równą szosę kończącą się czymś w rodzaju parkingu. I właściwie jesteśmy u wrót naszej tajemnicy. Czyli dokładniej, u wylotu trzech kolejowych tuneli. Z każdego z nich prowadziło torowisko, dalej przechodzące w dwutorową magistralę, ta z kolei łączyła się z główną linią kolejową do Królewca. I wszystko by było w porządku, gdyby nie fakt, że z drugiej strony każdy tunel kończy się ścianą. Widzi pan – mówił pan Janek. – Nikt nie może zrozumieć, w jakim celu linię kolejową o ogromnych możliwościach przelotowych podłączono do ślepych tuneli. Wojsko wykombinowało sobie wytłumaczenie, że są to tunele dla pociągu dowodzenia Adolfa Hitlera. Miały być czymś w rodzaju ukrytych stacji postojowych, schronów na wypadek nalotów, Bóg wie czym jeszcze. Idiocyzm takiego tłumaczenia polega na tym, że dla jednego pociągu nie buduje się trzech tuneli. Nieprawdaż? Na to też znaleziono odpowiedź. Jeden tunel dla pociągu Hitlera, drugi dla Göringa, a trzeci dla Himmlera. A jakże! Głupota wołająca o pomstę do nieba, drogi panie!

Parking, o którym mówił pan Janek, okazał się niewielkim, wybetonowanym placykiem, prawie niewidocznym spod zarastającego go zielska. Tuż obok wznosiło się ogromne, rozległe wzgórze. Na lewo pobłyskiwała tafla jeziora. Pan Janek prowadził.

Zeszliśmy po stromym stoku prosto na stare torowisko. Szyn, oczywiście, już dawno nie było. Zachowały się natomiast równiutko ułożone, betonowe podkłady, pomiędzy którymi tu i ówdzie wyrastały całkiem już duże drzewa. Samo torowisko biegło między obwałowaniami, których wysokość rosła, w miarę jak posuwaliśmy się do przodu. Minęliśmy niewielką krzywiznę i ukazał się nam prosty odcinek toru. Stałem oniemiały. Dopiero teraz zrozumiałem, że nie było żadnych obwałowań. Wchodziliśmy po prostu w głąb wzgórza. Wznosiło się teraz nad nami groźnie, złowieszczo, na wysokość kilku pięter. Betonowa ściana zamykała wycięty we wzgórzu wykop. Prawie kwadratowy, czarny wylot kolejowego tunelu, w którym ginęło torowisko, przyciągał mój wzrok jak magnes.

– Robi wrażenie, co? – odezwał się pan Janek. Skinąłem głową. Z tunelu wiało grozą.

Z dreszczem podniecenia, a może strachu, ruszyłem do przodu. Moje kroki, choć niepewne, odbiły się echem od ścian tego nienaturalnego kanionu. Spojrzałem pod nogi. Zniknęły kamienie tłuczni. Teraz podkłady stanowiły integralną część równej, nienaruszonej mimo upływu lat, betonowej płyty. Podobnie zresztą było i wewnątrz tunelu. Zapaliliśmy latarki.

– Niech pan zwróci uwagę na ściany – wyszeptał pan Janek. – Wszystko wyłożone jest miką. Widział pan kiedyś coś takiego? A teraz niech pan oświetli sufit.

Zrobiłem, co kazał. Na suficie zobaczyłem przedziwną mozaikę złożoną z metalowych prętów, wstęg i pętli. Kiedy się dokładniej przyjrzałem, zauważyłem pewną regularność. Podstawowy element układu stanowiły dwa pręty wyrastające pionowo z sufitu oraz przymocowane do nich osiem kręgów różnej wielkości. Kręgi, dwa u zakończenia prętów i sześć u jego nasady, zachodziły na kręgi sąsiedniego elementu. Sufit

połyskiwał. Podobnie jak ściany wyłożony był mika.

– Panie kochany. Jeśli był to tunel dla pociągu Adolfa, to ja jestem chiński mandaryn – przytomnie powiedział pan Janek. – Cholera jasna wie, co oni tu robili. Pojęcia nie mam. Popatrz pan na ściany. Wszystko, nawet podłoga, wyłożone mika. Widzi pan te ślady? Wszędzie, na podłodze, na ścianach, wszędzie były te druciane pętle. Znalazłem tu leżący kawałek takiego pręta. Dziwny był to metal. Bardzo ciężki, ale nie ołów. Twardy jak cholera. Posłałem koleżkę na Śląsk, by zbadał. Koleżka dzwoni i pyta: „Janek. Gdzie to znalazłeś? To czysty wolfram. Majątek kosztuje!” Jakim cudem tego nikt dotąd nie wyniósł, nie mam pojęcia! Może szabrownikom za wysoko było, a może przychodzili kraść, a nie zwiedzać, to i nikt nie zauważył. A wojsko? Nie wiem. Pewnie im ten wolfram na nic. Albo i zabrali tylko tyle, żeby w oczy nie kłuło. Pojęcia nie mam. Teraz to tylko ja tu przychodzę, a obcych nie przyprowadzam. Pan to co innego, pan za poręczeniem.

Tunel kończył się urządzeniem, które kolejjarze nazywają uporkiem – żelbetową konstrukcją podtrzymującą dwa stalowe zderzaki kolejowe. Miała być zabezpieczeniem, żeby pociąg nie uderzył w zamykającą tunel ścianę.

– I widzi pan, doszliśmy do końca – powiedział pan Janek, omiatając snopem światła końcową ścianę. – Też była pokryta prętami. – Pokazywał odpiłowane kikuty sterczące z pokrytej mika ściany. – Wie pan, co przypominają te pręty? Anteny, proszę pana. Anteny. Pociąg wjeżdżał w tunel pokryty wewnątrz antenami i...

– I co? – spytałem z nadzieją.

– I cholera wie, co było dalej – wymamrotał pan Janek. – Cholera wie, ale na pewno coś okropnego. – Gdy będziemy wychodzili, pokażę panu jeszcze coś niezwykłego. Tunele, proszę pana, były zamykane. Każdy miał dwie bramy. Zewnętrzną, stalową, i wewnętrzną, niech pan słucha... Aluminiową! Aluminiową, pokrytą od wewnątrz mika.

Czułem, że nos robi mi się zimny, a skóra na głowie ściera, podnosząc włosy do góry.

Każdy tunel miał dwie bramy!

„Po otwarciu bram... Aluminium...”

Niedaleko jest Gołdap. A więc jestem na terenie RI. *Sonderführer* Jost pisał, że RI nie został zniszczony. I tak właśnie wyglądał tunel, na obdarty ze wszystkiego, co cenne, ale niezniszczony. Jeśli to był RI, to gdzieś musi być RII, RIII i RIV.

– Panie Janku – spytałem. – Jest pan absolutnie pewien, że nie ma tu gdzieś w pobliżu podobnych budowli? Choćby zgruzowanych?

– Tego, proszę pana, jestem akurat absolutnie pewien. Cóż to? Nie wystarcza panu to, co tutaj mamy? Widział pan tylko jeden tunel, a są jeszcze dwa.

Dochodziliśmy do wylotu tunelu.

– Niech pan patrzy. – Pan Janek zatrzymał się przy wjeździe, pokazując ręką obrzeża tunelu. – Widzi pan?

Odcięte palnikiem wisiały dwa rzędy masywnych zawiasów. Rząd wewnętrzny był bez wątplenia stalowy, ale tu i ówdzie pozostały na nim fragmenty aluminiowych płyt. Na krawędziach torowiska piętrzyły się zwały mikowego kamienia.

– Wycięli skrzydła bram. Z aluminiowych skrzydeł obili mikę...

Drugi tunel nie różnił się niczym od pierwszego. Zajrzałem tylko w ponurą czerń jego otworu i spytałem, czy ktoś mierzył może długość tuneli.

– Sam mierzyłem – z dumą potwierdził pan Janek. – Wszystkie tej samej długości. Równe 286 metrów. Każdy skierowany inaczej. Każdy na innym poziomie. Ten trzeci, do

którego idziemy, to po prostu czyste wariactwo. Sam pan zobaczy. Żadnego uzasadnienia dla takiego usytuowania. Nasypy na parę piętér. Pociąg musiał się wręcz mozolić, by wreszcie osiągnąć wjazd do tunelu. Niemcy. Niegłupi ludzie. Czemu ten tunel zrobili tak wysoko? Wewnątrz w zasadzie niczym się nie różni od pozostałych. – Pan Janek z dezaprobatą patrzył na cudaczną linię kolejową. – Jesteśmy już niedaleko naszego parkingu, a tam mam dla pana jeszcze jedno prawdziwie tajemnicze miejsce. Chodźmy na parking. O samochód proszę się nie obawiać – dodał, widząc moją minę. – W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma żywej duszy. Dosłownie. Ptaki tu nie gniazdują. Zwierzęta nie mieszkają. Myśliwi początkowo rzucili się na ten uwolniony przez wojsko poligon, ale wkrótce się przekonali, że nie mają tu czego szukać.

Schodząc, widzieliśmy placyk z moim niebieskim fiacikiem, ale pan Janek prowadził mnie w innym kierunku. W zagłębienie położone tuż koło stromego stoku wzgórze.

Wreszcie stanęliśmy nad betonową płytą niemal całkowicie zarośniętą zieliskiem. Poza prostokątnym otworem wypełnionym czarną, zatęchłą wodą. Pan Janek stanął na płycie i przykucnął.

– Wojsko, oczywiście, od razu postanowiło tę wodę wypompować. Pompy pracowały dniami i nocami, a wody nie ubyło na włos. Stąd nie widać, bo tu nisko, ale niedaleko znajduje się jezioro. Stało się wiadomym, że cokolwiek tu było, Niemcy zalali wszystko, tworząc gdzieś pod ziemią połączenie z jeziorem, i pompowanie nie ma jakiegokolwiek sensu. Po latach sprowadzono tutaj płetwonurków... Ci odkryli dwa piętra podziemi i dokładnie je spenetrowali. Na pierwszym znaleźli jakieś urządzenia elektryczne. Dwa rzędy spalinowych generatorów prądu. Wszystkie uszkodzone i nie do użytku. Dolna kondygnacja to szereg pomieszczeń zamkniętych hermetycznie. Drzwi na gumowych uszczelkach. Na każdych drzwiach napisy ostrzegawcze o niebezpieczeństwie gazów bojowych. Czy tam ktoś wchodził, nie wiem. Ale nie sądzę, bo na pewno bym się dogrzebał jakichś informacji.

Poszliśmy jeszcze na brzeg, by przez chwilę popatrzeć na jezioro. Śliczne, bo bezludne.

Próbowałem wyobrazić sobie tamten dzień, a może noc, kiedy kruszono lód ładunkami wybuchowymi, a w powstałe przeręble wrzucano... No właśnie. Co? Co w takich wypadkach zatapia się w przeręblach? Dokumenty? Dokumentację techniczną ośrodka?

– Woda do podziemi leci gdzieś stąd – odezwał się pan Janek. – Osobiście jestem pełen podziwu dla skuteczności działania tej ich instalacji wodnej zabezpieczającej podziemia.

Pan Janek patrzył na mnie, oczekując zapewne potwierdzenia, ale ja nie byłem w stanie powiedzieć jednego słowa. Chciałem podbiec do pana Janka, rzucić się mu na szyję albo pocałować go w rękę. Instalacja wodna zabezpieczająca...

W.s.A. na planie *Sonderführera. Wassersicherheitsanlage!* Człowieku! Gdzieś ty miał głowę! Gdzieś ty miał oczy! Ale na planie nie było rysunku instalacji. Jakies kółka, cyferki, „oko opatrności”. Mój początkowy entuzjazm stygł powoli. Opanowałem się do tego stopnia, że mogłem jak najbardziej obojętnym tonem zadać pytanie nurtujące mnie od dłuższego czasu.

– Panie Janku, czy to miejsce, gdzie teraz jesteśmy, miało za czasów niemieckich jakąś nazwę? Choćby zwyczajową? Lokalną? Jak to w Polsce nazywało się czasami jakieś pustkowia. Były przecież różne „Czarcie Dolinki”, „Łyse Góry”. Prawda?

– Nigdy o takiej nie słyszałem – zmartwił mnie pan Janek. – Od stu lat zawsze był tu tylko poligon wojskowy. Słowo daję. Zaskoczył mnie pan tym pytaniem. Nie. Ta okolica nigdy nie miała swojej nazwy.

*Winklerssiedlung* nadal musiało pozostać nierozwiązaną tajemnicą.

Po powrocie do domu nie wiem który już raz zacząłem studiować szkic *Sonderführera*. O pracy geodetów nie miałem pojęcia. A *Sonderführer* Jost był geodetą. Zastanawiałem się, czy geodeci mają jakiś inny sposób na opisanie terenu, inny niż sporządzanie map w ich klasycznym wydaniu. Miałem przed sobą coś, co było podobne do mapy, ale nią nie było. Podstawowa rzecz w każdej mapie to podziałka, a tej Jost nie narysował. Patrząc na taki szkic, człowiek nie miał pojęcia o wielkości przedstawionego terenu. Mogły to być hektary pola lub równie dobrze fragment domowego ogródka.

W.s.A. wcale nie musi oznaczać wodnego systemu zabezpieczającego, a takie właśnie skojarzenie przyszło mi do głowy dlatego tylko, że rozmawialiśmy wtedy o tym z panem Jankiem. Wszystko wskazuje na to, że sam dalej niczego nie dokonam i potrzeba mi konsultacji mądrego geodety.

Nie musiałem się zastanawiać ani chwili – Włodzio. Absolwent Wydziału Geodezji naszego Uniwersytetu. Spec od geodezji satelitarnej. Kto będzie lepszy? Włodziowi można zaufać. Można mu powiedzieć prawdę.

Włodek od razu powiedział, że jest to fachowy zapis tak zwanych punktów geodezyjnych. W jego ocenie, na podstawie szkicu dość łatwo znaleźć trzy punkty oznaczone symbolami S i podejrzewa, że szkic wykonany został do tego właśnie celu. Kluczem do poszukiwań jest główny punkt geodezyjny, wieża triangulacyjna, czyli to, co ja nazwałem „okiem opatrności”. System oparty na wieżach triangulacyjnych od dawna został już zmieniony na bardziej nowoczesny, więc teraz odnalezienie wieży sprzed lat może być trudne. Ale skoro wiemy, że należy jej szukać koło Gołdapi, istnieje szansa, że odnajdziemy jakieś zapisy w niemieckich archiwach, pod warunkiem, że się zachowały... Geograficzne położenie RI miało dla poszukiwań znaczenie drugorzędne. Gdyby w ocalałej dokumentacji nie znalazły się informacje o samej wieży, można było najwyżej szukać jej pozostałości (solidny, betonowy słup, nad którym wznoszono wieże) na szczytach otaczających RI wzgórz.

W.s.A. nie mówiło Włódkowi niczego i – jak twierdził – nie miało nic wspólnego z geodezją. Odpisał sobie symbole i cyferki z „oka opatrności” i kóleczek, został zaprzysiężony i przyjęty do spółki. Po dwóch tygodniach wrócił. Tym razem już z laptopem, w którym miał efekty swoich poszukiwań w archiwum. Wieżę, ogólny szkic terenu, brzegu jeziora. Resztę rozwiązania zagadki szkicu *Sonderführera* Josta mieliśmy znaleźć już w terenie. Sam Włodzio był przekonany, że punkty S będą miejscami, gdzie znajdują się zasowy wodne instalacji zalewowej – *Schieber*. Podziemia pod betonową płytą to nic innego jak ów „syfon” wzmiankowany w zapiskach *Sonderführera*. Znalezienie „szybrów”, zamknięcie ich i wypompowanie wody z „syfonu” spowoduje otwarcie wejścia do najtajniejszych pomieszczeń obiektu RI. Dlatego niemiecki geodeta tak starannie ukrył swój szkic. Jeśli Włodzio się nie mylił, ten skrawek papieru był mapą do wrót Sezamu.

Żaden z nas nie miał wątpliwości, że system rur zalewowych, szybrów i co tam jeszcze musiał powstawać razem z obiektem, a więc już w trakcie budowy chronił coś cennego. Czy mogła to być sterownia? Centrala? Serce obiektu? „Syfon” nadal chroni sterownię. Calutką. Nienaruszoną. Ukrytą głęboko pod ziemią.

A jednak Włodzio spodziewał się pewnych trudności. Żeby znaleźć zasuwę, trzeba było w pierwszej kolejności odszukać pośredni punkt geodezyjny ukryty gdzieś pod ziemią już w pobliżu ośrodka. Później, jak wynikało z zapisów, *Sonderführer* wprowadził zaskakujące utrudnienie, przechodząc na system podobny do nawigacji morskiej. Obliczenia punktów S należało prowadzić w oparciu o znaleziony pośredni punkt geodezyjny, ale i położenie Gwiazdy Polarnej. Tylko w ten sposób mogliśmy dotrzeć do zasuw, dodatkowo, co wynikało ze szkicu, ukrytych głęboko pod ziemią.

Według Włodzka to ostatnie utrudnienie miało jednocześnie uniemożliwić znalezienie zasuw za pomocą aparatów do wykrywania min.

Kilka dni później Włodek mnie zaskoczył. Oznajmił, że właśnie wraca z RI, gdzie ni mniej, ni więcej znalazł pośredni punkt geodezyjny – płytko zakopany betonowy słupek. Teraz, o ile noc będzie pogodna, znajdzie go bez trudu. Ze słupka i Gwiazdy Polarnej znajdzie zasuwę. Proste. Prawda? Dziecko by sobie poradziło. Och, ci geodeci!

Po długiej naradzie ustaliliśmy, że niczego nie będziemy robić tak długo, aż nie opracujemy rozsądnego sposobu na pozbycie się wody z podziemi. Włodek proponował użyć pomp strażackich, ale stanowczo zaprotestowałem. Pracują hałaśliwie, smrodzą dymem na całą okolicę, nie ma też pewności, że poradzą sobie z taką ilością wody. Jak dotąd pustkowiem wokół RI sprzyja nam, ale mozolne i hałaśliwe, może wielodniowe pompowanie wody...

Co do tego, że musimy działać w absolutnej tajemnicy, ani Włodek, ani ja nie mieliśmy cienia wątpliwości. Byliśmy głęboko przekonani o tym, że RI jest teraz naszą i tylko naszą własnością. Tylko my możemy decydować o dalszym jej losie. Cała reszta świata miała dość czasu, by zająć się tajemnicą. Przeszło pół wieku to niemało. Nie chciało się? To teraz wara od naszego odkrycia! Tak wtedy myśleliśmy.

Zdecydowaliśmy więc, że na razie przerywamy działania, aż do czasu, gdy będzie rozwiązana sprawa pozbycia się wody. Postanowiłem opowiedzieć o wszystkim Władkowi...

Stary przyjaciel słuchał w milczeniu, a gdy skończyłem, powiedział spokojnie.

– Skoro *Sonderführer* zbudował syfon, to ja na jego syfon zrobię lewar. Daj trochę pomysłu. Wiesz może, jak głęboko sięgają zalane podziemia? Bo to byłoby w tej chwili najbardziej istotne. Nie wiesz? To też nie problem. Po prostu musiałbym pojechać z tobą do tego RI i na miejscu zorientować się w szczegółach. Wchodzę do sprawy. Pasuje?

Co miałem powiedzieć? Pasowało!

Włodek w skupieniu sondował zalane podziemia zwyczajnym szpagatem obciążonym ołowianą kulką. Na szpagacie co metr znajdowała się kolorowa tasiemka. Łaził dookoła otworu, rozpychając miejscami bardzo wysoko wyrosnięte krzaki. Zapisywał coś na kartce. Zastanawiał się i kombinował.

– No więc tak. Mamy schody. Standard. Każdy stopień po 18 centymetrów. Utrudniają sondowanie, ale chyba niewiele się pomylę, jeśli powiem, że pomieszczenie ma trzy metry wysokości. Nurkowie mówili, że są tam dwa piętra podziemi. Prawda? No to będzie ze sześć metrów do dna. Chodźmy teraz znaleźć miejsce na spuszczenie wody.

Znaleźliśmy. I to niedaleko. Szeroki jar opadał w dół zaraz za parkingiem. Włodek był zadowolony z ukształtowania terenu. Lewar musi zadziałać. Prawo fizyki.

– Spuszczales przecież wino z gąsiora do butelki, stary alkoholiku. To samo zrobimy tutaj. Tylko na większą skalę. Zassanie uzyskam ze starej „szambelanki”, wozu asenizacyjnego. Wezmę go od kolegi, który mieszka niedaleko stąd. Trochę się ten wóz

przerobi, uszczelni i będzie bardzo skuteczny. Bardziej wydajny niż jakiekolwiek strażackie motopompy. I pracuje bez hałasu. Raz tylko walnie na samym wstępie, gdy ze zbiornika będzie wypalany tlen.

Już na głównej szosie minęliśmy samochód osobowy. Władek, prowadzący nasz wóz, popatrzył uważnie w lusterko wsteczne.

– Zobacz prędko, co ten facet robi! – zawołał. Obejrzałem się. Jeszcze zdążyłem dostrzec, jak samochód skręca w „naszą” drogę do RI.

– Koniec samotności, kochasiu – stwierdził kwaśno Władek. – Turyści już się dowiedzieli. Będziemy musieli serio wziąć to pod uwagę.

Miałem więc nowe powody do zmartwień. Jakiegokolwiek próby wejścia do RI musiałyby nastąpić w czasie, gdy na Mazurach nie ma już turystów. Kiedy? Najlepiej w listopadzie. Wiatr, zimno, deszcz ze śniegiem. Psy nie chcą wychodzić z domu, a co dopiero turyści. Komu wtedy przyszedłby do głowy pomysł wycieczki do odludnych leśnych pustkowi? Powinniśmy to zrobić nawet pod koniec listopada, bo zaraz potem mróz, śnieg, który zasypie ślady.

Kładąc się spać z głową pełną problemów, ani się spodziewałem, że właśnie nadchodzi najgorszy z nich...